

American dream

„Nasz pierwszy dzień w Ameryce” – głosi napis ołówkiem na odwrocie czarno-białej fotografii. To moje kolejne znalezisko na aukcji internetowej. Według opisu sporządzonego przez sprzedawcę zdjęcie pochodzi z 1936 roku i przedstawia polską rodzinę w Nowym Jorku. W tle widać charakterystyczną fasadę *row house*, popularnej zabudowy mieszkalnej, w której lokowano napływających w imponującym tempie imigrantów. Zdjęcie przedstawia czterech mężczyzn, dwie kobiety i dwóch chłopców – mają słowiańskie rysy i włosy w nieokreślonym kolorze, typ „szatyn polski”. Uśmiechają się, mają na sobie swoje najlepsze ubrania. Może dołączyli do krewnych, a może cieszą się, że od jutra zaczną realizować własny *American dream*. Jego definicję pięć lat wcześniej, w 1931 roku, ukuł James Truslow Adams w książce *The Epic of America*. Twierdził, że każdy zasługuje na lepsze, bogatsze i pełniejsze życie, a możliwości powinny być konsekwencją zdolności i osiągnięć, a nie pochodzenia. Nawiązał w ten sposób do ideałów z Deklaracji Niepodległości, które gwarantują każdemu prawo do życia, wolności i podążania za szczęściem.

Właśnie po to przyjechała do Ameryki polska rodzina ze zdjęcia. Dopiero po trzech latach od jego zrobienia, kiedy Polskę opęta wojenna zawierucha, jeszcze bardziej utwierdzą się w przekonaniu, że wygrali los na loterii. W korespondencji ze sprzedawcą ustaliłam, że odbitka pochodzi z wyprzedaży zawartości czyjegoś mieszkania. Uwierzyłam mu na słowo, że to prawdziwa pamiątka, a nie przypadkowe zdjęcie ubrane w sentymentalną i sprzedawalną otoczkę. Zresztą nie ma to większego znaczenia. Fotografia z podpisem to tylko symbol tysięcy podobnych rodzinnych historii, które wydarzyły się naprawdę.

W Stanach Zjednoczonych mieszka dziesięć milionów osób polskiego pochodzenia. To największe skupisko Polonii na świecie. Główne fale polskiej emigracji napłynęły do USA w XIX wieku, po powstaniach narodowych i w wyniku zapotrzebowań zarobkowych, oraz w XX wieku, wywołane II wojną światową i przyczynami politycznymi. Ostatnie fale emigracji, po 1989 roku, miały głównie przyczynę ekonomiczną. Dopiero po wstąpieniu Polski do Unii

Europejskiej w 2004 roku Stany straciły na emigracyjnej popularności, przegrywając z bliższymi i przyjaźniejszymi pod względem formalności Wielką Brytanią i Irlandią. Przestały też kusić towarowym eldorado i oszałamiającą prebitką zarobkową. Dziś raczej nikt już nie liczy na to, że w Ameryce szybko i łatwo się wzbogaci. Ale legenda *American dream* wciąż uwodzi. Nie brakuje desperatów i desperatek gotowych pokonać ocean i biurokratyczne pole minowe, aby go zaznać. Jestem jedną z nich.

Zanim podjęłam decyzję o wyjeździe do Stanów na kilkuletni kontrakt, nigdy tam nie byłam. Fizycznie, bo przecież z Ameryką każdy z mojego pokolenia obcował od dziecka. Wraz z nastaniem lat dziewięćdziesiątych chciwie łapaliśmy jej odpryski we własnym domu i na własnym podwórku. Dżinsy Wranglera i Levis'a, trampki Converse, bajki Disneya, guma Donald, buty Nike, coca-cola, papierosy Marlboro, hamburgery z McDonalda. W bibliotece Jack London i Mark Twain, w radiu Michael Jackson, Bon Jovi, Aerosmith, Guns N'Roses i boysbandy, w telewizji westerny, hollywoodzkie hity, filmy drogi, *WC Kwadrans*. I seriale – *Moda na sukces*, *Przyjaciele*, *Bill Cosby Show*, *Miasteczko Twin Peaks*. Nie trzeba było mieszkać w Ameryce, by jej posmakować.

Odległy o tysiące kilometrów kraj kształtował nasz styl, gust muzyczny i wyobrażenie o świecie albo o jego najlepszej wersji, do której należy dążyć. Zanim fast food i muzyka pop zostały zdegradowane do tandetnej masówki, długo pozostawały niedoścignionym symbolem lepszego życia – bardziej kolorowego, zamożniejszego, intensywniejszego. Obrazy z kina i teledysków w MTV hipnotyzowały i boleśnie kontrastowały z lokalną szpetotą postkomunistycznego krajobrazu. Amerykanie wydawali się królami życia – wyluzowani, przebojowi, z żyłką do interesu wyssaną z mlekiem matki. „USA” – już sama nazwa wywoływała dreszcz, przywodząc na myśl jakiś ekscytujący, elitarny klub.

Munie Staszczuk śpiewał tak:

*Normalnie stary godzina roboty
Kupujesz wiośło i piecyk
Po prostu w Stanach jest inaczej
Możesz se na to pozwolić*

*Normalnie stary żarcie jest tanie
Najlepszy keczup na świecie
Państwo ci buli co miesiąc kasę*

Na twoją życiową szansę

Stany Stany fajowa jazda

Zjednoczonych topot flag

Ameryka gwiazdzisty sztandar

Czujesz klimat na pewno tak

Joseph Nye z Harvard University Kennedy School of Government zwrócił uwagę, że światowa potęga USA to nie tyle przewaga ekonomiczna czy militarna, ile przede wszystkim siła oddziaływania na zwykłego człowieka. To *soft power* – miękka moc, czyli atrakcyjność kulturowa. Każdy z mojego pokolenia na pewnym etapie chciał żyć jak w Ameryce – nosić się, jeść, zarabiać, spędzać wolny czas. Koledzy brzdąkający na gitarach w domu kultury marzyli o sukcesie amerykańskich legend rocka. Koleżanki skrycie marzyły o karierze top modelek – chciały być jak Cindy Crawford czy Naomi Campbell. Starszych też uwodziła amerykańska baśń. Moja mama jako nastolatka prowadziła brulion, do którego wklejała fotosy Marilyn Monroe. Ma go do dziś.

Siłę oddziaływania mitu Ameryki celnie podsumował Wojciech Orliński w swojej książce *Ameryka nie istnieje*: „Z krajów cywilizowanych Ameryka jednocześnie ma rekordowo szczupłą autentyczną historię – i rekordowo bogaty dorobek historii fikcyjnych. Od swego zarania Ameryka o Ameryce opowiada baśnie tak fascynujące, że śni je potem cały świat. Te baśnie przecież zresztą stworzyły Amerykę. Od pierwszych angielskich osadników w XVII wieku aż po hinduskich programistów w Dolinie Krzemowej, Ameryka przyciąga do siebie poprzez oceany ludzi, którzy marzą o rozpoczęciu tutaj nowego życia zgodnie z baśnią, którą ktoś im opowiedział”.

Kiedy dorastaliśmy z bratem w średniej wielkości mieście na Mazowszu, często zdarzało nam się narzekać, że nie mamy żadnej rodziny za granicą, jakiejś ciotki czy dalekiego kuzyna, którzy zaprosiliby nas na wakacje i pokazali miejsca niedostępne (bo nieosiągalne cenowo) dla przeciętnych zjadaczy polskiego chleba. Z zazdrością słuchaliśmy, gdy ktoś z rówieśników poleciał do wuja w Australii lub znajomych w Nowym Jorku. A my? Szczyt luksusu stanowiły wakacje w Bułgarii. Stany długo były dla mnie nieosiągalne. Przypominały drogą markową torebkę – poza zasięgiem, do podziwiania tylko na odległość.

Realizując amerykański ideał przedsiębiorczości, czyli pracując i ucząc się jednocześnie, oszczędzałam na pierwsze samodzielne podróże. Zaczynałam od tańszych kierunków: najpierw krajów europejskich, potem azjatyckich i południowoamerykańskich. Indie, Mongolia, Wietnam, Indonezja, Peru, Bo-

liwia – z plecakiem zwiedziłam sporo świata, ale Stany zaklasyfikowałam jako kierunek luksusowy i wciąż odkładałam je na później. Chciałam zebrać dostatecznie dużo czasu i pieniędzy, żeby porządnie je zwiedzić. I taki moment nadszedł, choć jak to w życiu często bywa, nie wtedy, kiedy go oczekiwałam.

Historia o tym, w jaki sposób znalazłam się w Stanach, mogłaby trafić na strony poradników pisanych przez amerykańskich trenerów rozwoju osobistego. Świetnie nadaje się na pokrzepiający *testimonial*, czyli świadectwo niesamowitych zmian w życiu, jakie następują w wyniku magicznego myślenia. Prawo przyciągania („stajesz się tym, o czym myślisz”) było mi znane między innymi z bestsellerowej książeczki *Sekret* Rhondy Byrne (Rhonda jest Australijką, ale książka powstała we współpracy z autorami z USA). Traktuję takie pozycje z przymrużeniem oka, choć pozytywne myślenie jest mi bliskie. Nie mylę go jednak z zaklinaniem rzeczywistości i wiarą, że wystarczy o czymś pomyśleć, by przyciągnąć to do naszego życia. A jednak coś takiego mi się przytrafiło.

Postanowiłam napisać książkę o Polkach, które zdecydowały się zamieszkać w odległych zakątkach świata. Mój umysł przez wiele miesięcy zajmował się tematyką emigracji, choć fizycznie było mi do niej daleko. Nad tekstem pracowałam podczas urlopu macierzyńskiego. Moja córeczka była spokojnym niemowlęciem, więc czas jej drzemek wykorzystywałam na przeprowadzanie wywiadów. Bohaterki książki *Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata* przez Skype’a opowiadały mi o życiu w Toskanii, na Malediwach, w podbiegunowych stacjach badawczych albo w Senegal. Chłonełam ich przygody i opisywałam je dla przyszłych czytelników, sama jednak w tamtym momencie byłam tak daleko od podróżowania, jak Nowy Jork od Warszawy.

Nie przeszkadzało mi to – wcześniej zdążyłam zwiedzić spory kawałek świata, poza tym cieszyłam się tak zwanym ułożonym życiem – rodziną, mieszkaniem, perspektywą powrotu do lubianej pracy. Nie przewidziałam tylko, że po zakończeniu urlopu macierzyńskiego będę zmuszona zmienić plany zawodowe. Ani tego, że w nowej firmie pojawi się możliwość wyjazdu do jednego z jej zagranicznych oddziałów. Rozmowy na ten temat zaczęły się tuż po tym, jak na rynek trafiła moja książka o emigrantkach. I jak tu nie wierzyć w prawo przyciągania?

Czytelnicy mojej książki *Nowy Jork. Opowieści o mieście* wiedzą, przed jak dużym dylematem stanęłam, gdy musiałam podjąć decyzję o wyjeździe do Nowego Jorku. A raczej jakim wyzwaniem było wcielenie tej decyzji w życie, bo od początku nie miałam wątpliwości, że chcę spróbować – nie wiedziałam

tylko, jak to zrobić. Poza chęcią rozwoju zawodowego czułam, że może to być jedyna okazja, żeby zamieszkać w Stanach i dobrze poznać ten kraj. Po pierwsze: Nowy Jork – ikoniczne miasto, spełnienie marzeń o międzynarodowej karierze. Po drugie: ogromna, różnorodna, fascynująca Ameryka i kilka lat na to, by zjeździć ją wzdłuż i wszerz. Oba argumenty obudziły we mnie niesamowitą determinację, by zorganizować przeprowadzkę mojej najbliższej rodziny. Po kilku miesiącach przygotowani trafiliśmy do Hoboken w stanie New Jersey, uroczego miasteczka z oszałamiającą panoramą Nowego Jorku. Pamiętam, jak stanęłam nad brzegiem rzeki Hudson i trzymając za rękę dwuletnią córeczkę, spoglądałam na skupisko wieżowców na południowym krańcu Manhattanu. Pomyślałam: udało się. Jeśli to jest możliwe, to w życiu naprawdę wszystko może się zdarzyć.

Głównie na tym polega chyba zbiorowe marzenie, które przyciągało do Ameryki załogi pierwszych statków, osadników, imigrantów – i które nadal przyciąga tu przyjezdnych z całego świata: na przekonaniu, że w tym kraju chcieć to móc. Wystarczy pragnienie i dwie ręce do pracy, by odmienić swój los. I wcale nie trzeba na to długo czekać. W krainie dolara, gorączki złota i okazji czekających za każdym rogiem sukces przychodzi szybko. Amerykanie, których poznałam, niezależnie od pochodzenia, miejsca aktualnego zamieszkania i statusu materialnego, byli dumni ze swojego kraju jak ze wspólnego, wielopokoleniowego osiągnięcia. Mam przy tym nieodparte wrażenie, zwłaszcza po kilkuletnim pobycie w Stanach, że Polaków łączy przede wszystkim narzekanie na swój kraj – i na życie w ogóle.

Tej tendencji przyjrzał się profesor Bogdan Wojciszke. W książce *Homo nie całkiem sapiens. O automatyzmach myślenia, nadętych politykach, narzekaniu Polaków i pułapkach moralności* przywołuje wyniki ankiet i eksperymentów, które wykazały różnice między Polakami a Amerykanami. W jednym z badań polscy i amerykańscy studenci przez kilka miesięcy codziennie mieli oceniać, jak ich dzień wypadł na tle poprzednich. Prawie wszyscy Amerykanie każdego dnia czuli się lepiej niż zwykle, a Polacy – gorzej. Profesor Wojciszke zauważa: „jakoś w tej polskiej duszy pobrzmiwa wciąż negatywizm. Cieszenie się to świadectwo naiwności i głupoty, jak również nieodpowiedzialności”. Z kolei „w takich państwach jak USA ludzie mówiący dobrze o świecie są uważani za mądrzejszych. Bierze się to z przekonania, że rzeczywistość została sprawiedliwie urządzona i ci, którzy wypowiadają się o niej pozytywnie, mają większą szansę na osiągnięcie sukcesu”.

Oczywiście, że rzeczywistość została urządzona tak, jak trzeba – Ameryka-

nie zrobili to przecież własnoręcznie. Źródło ich dumy narodowej tkwi w przekonaniu, że zbudowali swój kraj po swojemu, na fundamentach położonych przez pracowitych i odważnych ojców pielgrzymów. Od czasów pierwszych stałych osad w przyszłych Stanach Zjednoczonych – Jamestown w dzisiejszym stanie Wirginia (założonej w 1607 roku) czy Plymouth na terenie stanu Massachusetts (założonej w 1620 roku) – na własnych warunkach urządzali Nowy Świat, lepszy od Starego. Osadnicy z Europy przywieźli ze sobą świadomość zdobyczy cywilizacji, ale i jej niedoskonałości. Kopiowali dobre rozwiązania, starali się wystrzegać złych. Ostatecznie zaś zerwali się ze smyczy europejskich wpływów, uchwalając w 1776 roku Deklarację Niepodległości i tym samym obwieszczając światu swoją niezależność.

Zgodnie z przysłowiem „jeśli wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one” w Stanach opłaca się być pozytywnie nastawionym, a w Polsce wypada być przynajmniej sceptycznym, bo taki ton nadaje obowiązująca w każdym z tych krajów tożsamość narodowa. Obie postawy przynoszą oczywiście określone korzyści – w odpowiednim otoczeniu. Sama mam usposobienie Pollyanny i lubię pogodnie podejście do życia; w Polsce często czułam, że moje zadowolenie jest brane za dowód braku doświadczenia i znajomości prawdziwych problemów, a wiara w dobry przebieg wydarzeń – za niedojrzałość. Nie lubię porównań, że za granicą jest zawsze lepiej, ale w Stanach pod wieloma względami poczułam się na swoim miejscu. I choć zaprzyjaźnieni Polacy z Greenpointu dobrze mi znanym tonem zapewniają, że przybyłam za późno, bo stary, dobry, prawdziwy i dający zarobić Nowy Jork dawno się skończył, to ja unoszę się tu kilka centymetrów nad ziemią. Mam wrażenie, że za chwilę może zdarzyć się coś niesamowitego. I często tak właśnie się dzieje.

Po to tu przecież przyjechałam – nie tylko do pracy (w tej mogłabym rozwijać się w Polsce), ale by przeżyć przygodę. Zamierzałam chodzić ulicami Nowego Jorku z kubkiem kawy w dłoni, przemierzać kolejne stany wielkim samochodem, jadać w dinerach, spać w motelach i podziwiać zapierające dech w piersiach widoki. Chciałam zagrać pierwszoplanową rolę w moim osobistym amerykańskim filmie. Mogłam wydać wszystko, co zarobiłam, ale zyskałabym coś bezcennego – wspomnienia i poczucie, że odważyłam się mieć ciekawe życie. To był mój *American dream*.